1. kwietnia Nr. 4. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

NIEWIASTA I DOM.

Przez **Z. z P. Ł.**

Często słyszymy robione uwagi, które nam się wydają niesłuszne albo bezzasadne, „iż wpływ ojca na wychowanie syna nie wywiera tyle skutków pożądanych co matki.“ Twierdzenie takie ma swą prawdziwą stronę, z rzadkiemi wyjątkami. Można to sprawdzić w naszych nawet czasach, że ludzie wielkiej potęgi duchowej, odwagi cywilnej, wzniosłych uczuć i surowej moralności, którzy położyli zasługi w prawodastwie, naukach ścisłych, w literaturze i t. d. a w ludzkości stanowią epokę, zawsze prawie byli synami sławnych matek.

Historya liczne nam tego daje przykłady. Dowód ten jest bardzo przekonywającym, bo wpływ matki na wychowanie dzieci, jest niezaprzeczenie wielkim, rozwijającym tychże samodzielność, i wiele się przyczynia do ich wykształcenia umysłowego i moralnego, do wpojenia pewnych zasad, podług których mają postępować całe życie. Ojcowie, mimo swej głębokiej nauki, nie zdołają przelać na dzieci swej genialności. Życie ich pracowite a mozolne i natężenie w pracach umysłowych czyni ich niezdolnymi do zajęcia się młodszem pokoleniem w życiu powszedniem, i mogą oni na nie jedynie wpłynąć z katedry, trybuny lub kazalnicy.

Niepodobna więc dla nich wchodzić w rozpoznanie drobiazgowe charakteru młodocianego, i tych małych odcieni, które tylko serce matki odgadnąć potrafi, aby podług tego wejść w usposobienie syna i nadać kierunek potrzebny i właściwy jego wychowaniu — by ciągłem czuwaniem wpłynąć skutecznie na rozwinięcie się intelektualne, moralne i religijne dziecka.

Nie pochodzi to ani z lekceważenia obowiązków włożonych na nich przez opatrzność, ani z obojętności dla syna. Ludzie, którym w tym względzie nie można zrobić najlżejszego zarzutu, sami to przyznają. Jest to niemożność, która zostawia mniejsze staranie słabszemu, bo kobiecie.

Ojciec musi działać na obszerniejszem polu, bo wpływać na całe pokolenie, a umiejętnością swą przyczyniać się do dobra ogółu i ludzkości. To bowiem jest przeznaczeniem mężczyzny.

Uczeni, mężowie stanu, medycy, adwokaci, nauczyciele, artyści i t. d. wszyscy pracują dla dobra ogółu, są przeznaczeni do spełnienia sumiennego swych obowiązków z korzyścią dla dobra powszechnego. Wszelkie przeszkody czyniłyby ich niezdolnymi do mozolnego zajęcia się, jakiego wymaga pierwotne dzieci wychowanie.

W pierwszych zatem dziesięciu przynajmniej latach wyłącznie matka powinna być nadzorczynią, nauczycielką i nieodstępną towarzyszką swego syna, a w trudnych razach uciekać się do rady męża swego, jako jedynego sędziego i doradzcy w tej tak ważnej dla obojga sprawie.

Szkoła jest tylko dla chłopca — córkę może nauczyć matka tego co sama umie, a przy pomocy dzisiejszych książek zupełnie się jej wykształceniem zająć. Dla dziewczyny wystarcza dom, dla chłopca trzeba szkoły, parcia w kole rówienników i otarcia się ze światem, bo jest powołanym do walki za siebie i społeczeństwo. Kobieta od kolebki do grobu prowadzoną jest jak za rękę przez *miłość*. W dziecińtswie kochana przez rodziców, później przez męża, dalej otoczona dziećmi, żyje tylko miłością i przywiązaniem drugich, a pielęgnowanie i czuwanie nad temi, którzy jej są najbliżsi, jest całem jej szczęściem; bo poświęcenie się jest dla niej koniecznem, stanowi zadowolnienie jej wewnętrzne. Ciche bowiem słodycze rodzinnego i domowego życia są jedynemi warunkami szczęścia kobiety.

Cóż jest wznioślejszego nad wychowywanie istot powierzonych przez opatrzność jej opiece? Pielęgnować je, kształcić, nauczać przykładem, napominać z łagodnością, zachęcać do pracy, wytrwałości, odwagi, uległości, cierpliwości, pobożności i rezygnacyi. Zaiste tego tylko jedna miłość jest w stanie dopełnić, a ta dana nam z natchnienia wyższego i łaski. W tem widzimy chlubne i wzniosłe przeznaczenie kobiety, której opatrzność pozwala wyręczać męża i ojca, a za zrozumienie swego stanowiska i ścisłe wypełnienie obowiązków pozwala jej wielkiej radości i pociechy, kiedy znajdzie spełnione to, co słowem i przykładem w czyn zamieniła.

Niech tylko przedewszystkiem matka ma na celu dobro swych dzieci i im całkiem oddaną będzie, a wnet ujrzy swych zabiegów szczęśliwe skutki.

Wychowanie możnaby podzielić na trzy części: *fizyczne*, *moralne* i *intelektualne*.

Fizyczne ma na celu rozwinięcie ciała, utrzymanie zdrowia podług rad hygienicznych, zastosowane do temperamentu i organizacyi dziecka.

Drugie, *moralne*, ma na celu duchowe wykształcenie: poznanie obowiązków względem Boga, względem bliźniego i względem siebie.

Trzecie nareszcie *intelektualne*. Pod tem rozumiemy rozwinięcie władz umysłowych, nabywanie talentów i estetycznych pojęć.

Jakaż to dla matki pociecha, kiedy w pokorze i miłości pozwoli jej opatrzność osiągnąć ten najwyższy cel szczęścia kobiety, wychować dobrze dziecko swoje. Kółko niewiasty, które jej świat zawiera, jest małe, bo się w jej sercu mieści; nie rozciąga się ono daleko, bo się na domowem życiu ogranicza, a jednak sprowadza wielkie następstwa, jeśli ta co kieruje wychowaniem swych dzieci, jest wzniosłych uczuć, pewnych zasad, ożywiona ważnością swych obowiązków, i tym sposobem spełnia posłannictwo dane jej od Boga. Wiemy bowiem z historyi, że w wielkich wstrząśnieniach narodów, w epokach ważnych, w przemianach politycznych i obyczajowych, kobiety swym wpływem nadawały przeważnie zły albo dobry kierunek sprawie.

A teraz rzućmy okiem, jakie odmiany w wychowaniu nam się spostrzedz dadzą w różnych krajach. Weźmy z tychże narodów typ kobiety, a tak rozmaite nam się cechy przedstawią, tak odmienne dążności, iż przyznać będzie potrzeba, że ta sama prawda znajdzie coraz inne zastosowanie w życiu, odnośnie do społecznych i narodowych stosunków.

Dla każdego jest jakaś droga, ale trzeba koniecznie mieć coś swojego, i z tego punktu zapatrywać się na wychowanie w Polsce, gdyż tu jedynie o to nam chodzi.

Tyloletnie przebywanie między obcymi, nasuwa mi mnogie myśli, które nie jako rady, ale jako uwagi podaję.

Bóg kazał mi przechodzić dziwne i trudne życia koleje, niezwykłe polskim kobietom; wyjątkowe więc moje położenie pozwoliło mi poznać niewiastę w różnych krajach i półkulach. Ma to także właściwy sobie wdzięk i nie małe przynosi korzyści. Zwiedziłam i poznałam tyle krajów i miast, a starałam się zawsze korzystać z tego i czegoś się nauczyć. Poznałam i zbliżyłam się do ludzi znakomitych i ilustracyi, tak w naszych jak i w innych narodach, o czem nieraz wspominam z chlubą i z żywą radością. A we wszystkich moich postrzeżeniach z pociechą tę prawdę poznałam, iż nierównie więcej jest ludzi zacnych, ludzi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu dobrych i cnotliwych, aniżeli złych i nieprawych.

Ludzkość się doskonali! to prawda niezaprzeczona. Więcej dobrego na świecie, niż złego, i tem to tylko stoi człowiek w walce z szatanem.

Jakaż to pociecha napotkać w obczyźnie zacnego człowieka, a jaka duszy ochłoda, kiedy się dowiemy, że to nasz ziomek. Zapewne, iż tak żywą radością należy się przejąć na widok poczciwego człowieka z każdego innego narodu, co do mnie jednak najżywiej czuję i cieszę się, kiedy taki wyrósł na ukochanej ziemi naszej i uniósł z sobą na obcą ziemię cnoty ojców.

W każdym narodzie, powtarzam raz jeszcze, znalazłam osoby zacne, wykształcone i moralne: szanowne matrony, tkliwe matki, dobre żony i cnotliwe córki; w każdym jednak przebija się w wychowaniu młodzieży cecha wybitna, myśl przewodnicząca. Dla każdego jest jakaś droga, ale my musimy mieć naszą własną, a po niej postępując, zapatrujmy się na cnoty ojców naszych, i nabywajmy czego nam trzeba. Obrachunek w tym względzie, powinien być ścisły, a wnet się ujrzymy na dobrej drodze, a w raz wytkniętym kierunku nie ustawajmy i wytrwajmy statecznie. *(D. n.)*

DRAMATYCZNOŚĆ — TRAGIEDYA.

(Dokończenie.)

Z głębi obrazu, ognistem oblane światłem, występują postacie samotne. Nie wielka ich liczba, lecz olbrzymy: olbrzymy wielkością lub zbrodnią. Na wysokich koturnach kroczą po swych ścieżkach, zdala gwar ciżby ich dolata. Tu imperator z laurem na skroni patrzy niezmrużonym okiem w tłumy, a z tłumów okrzyk: „*io triumphe*“ rozchodzi się echem w powietrzu. Dumnie wydęły się usta, serce bije w takt chwale, lecz nagle uśmiech szyderczy twarz mu wykrzywił i wódz się od tłumów odwrócił. Owdzie mędrzec wzrok ku gwiazdom wytężył i pyta je o ich tajemnice; nieznużony badacz stworzenia i stwórcy pisze na mnogich kartach spółczesnym i potomności, a nieraz świat: „*na krzyż z nim*“ zawoła, a z potomnych ledwie tysiączny godnie uczci mistrza. Tu chciwy sławy pogromca wprzągł w swój rydwan narody; hymn pochwalny wzbił się w niebiosa, w wartkim pędzie do szczytu chwały druzgocze, co mu w drodze stawa, nareszcie znikł, jak meteor śród ciemnej nocy, a przekleństwa za nim wionęły. Owdzie mąż większy sercem niż rozumem, rozprzęgł namiętności ludu, zburzył co istniało, a nowego gmachu z chaosu dźwignąć nie umiał i sam runął pod własnym ciężarem. Tam śmiało na stos wstępuje męczennik za własne przekonanie; na tem czole wyryła zdrada swe haniebne piętno, twarz innego lśni złotą aureolą poświęcenia. Rozmaite postacie, lecz każda z nich ma swoje odrębne piętno. Nie są to ludzie pospolici, każdy z nich wielki niezwykłą cnotą lub zbrodnią, ognistą namiętnością lub męką rezygnacyą; każdy piętnem wyższości nacechowany, historya częstokroć ich imiona na swych kartach zapisuje.

W jaśniejszem świetle występują figury nowe, tłum ich większy, lica bardziej do siebie podobne, śmiech i płacz, łza rozkoszy i niedoli, radość i cierpienie porozrzucane po twarzach stanowią dziwną mozaikę życia. Tu żona trawi bezsenne nocy przy chorem dziecięciu śród dojmującego niedostatku, a mąż tymczasem przy zielonym stoliku żebrze umizgu fortuny. Owdzie młody hulaka trwoni krwawo zapracowany grosz ojcowski, a nie widzi żebraka trzęsącego się od zimna, lub złoczyńcy dzwoniącego łańcuchami; nie myśli, że — za kilka lat może — będzie towarzyszem ich nędzy lub hańby. Tu praca walczy z potrzebą; opuszczony sierota przebojem ciśnie się naprzód, w zapasach z ironią losu nie jedna gorzka łza zakipi w jego oku, nie jeden śmiech szyderczy obrazi ucho, lecz nareszcie zwyciężył biedak los i ludzi, los i ludzie się zmienili, dla obu pozostał mu uśmiech litosny na licu. — Tam rozpusta stawia sidła niewinności, brat mści się opuszczonej siostry, tu żona zapomina przysięgi, i skażona pocałunkiem wietrznika ulega zgryzotom sumienia. Takich postaci już nam życie, mianowicie familijne, daleko więcej dostarcza.

Bliżej ku przodowi obrazu, blaskiem dnia białego oblane, snują się gwarnym tłumem postacie nowe. Próżność nadęta z szumnem słowem w uściech a z czapką błazna na głowie; wyświeżony próżniak brukowy, z lorynetką w ręku, pląsający po gładkiej ścieżce życia, a na jej krańcu nagrobek z napisem: „pokój jego popiołom“, wszakże nic więcej po nim nie zostało. Kochana ciotunia, chodząca co dzień trzy razy do kościoła, a w przestankach obmawiająca, pobożnie mrugając oczami, znajomych i nieznajomych. Pieczeniarz bratający się z pankami, niemniej przeto cel ich drwin i dowcipu. Panienka czterdziestoletnia, niecierpiąca całej płci brzydkiej, a jednakże ściśle zachowująca posty w wigilię św. Jędrzeja; są to charaktery, które co krok w życiu napotkasz.

Każda z postaci tego obrazu jest tylko charakterowo pojęta. Ażeby jej charakter objawił się działaniem, potrzeba kontrastu, zawikłania, walki, ogólnie mówiąc pewnej sytuacyi.

Charaktery dramatu w znaczeniu ściślejszem, i w komedyi nie działałyby może, gdyby ich sytuacya do tego nie zmuszała — bohaterowie zaś tragedyi działają z wewnętrznej siły, sami tworzą sytuacyę, zawikłanie; sami los wyzywają, lub chętnie podnoszą rzuconą rękawicę, chcąc się z nim zmierzyć.

Ten wewnętrzny prąd do czynu jest tak niezbędnym warunkiem w charakterze bohatera tragedyi, że już sam niedomiar dzielności woli do czynu, jaki bohater ma spełnić, stanowić może zawikłanie tragiczne.

Bohaterów tragedyi możnaby podzielić na dwie główne kategorye: u jednych despotyczna potęga woli indywidualnej, nie uznaje żadnego uprawnienia, krom siebie; rozpiera się w gwałtownym boju z wszelką zaporą zewnętrzną, chociaż uprawnioną, i ulega mu nakoniec w walce. U drugich wzniosłe, lecz bezwzględne wypełnienie moralnej powinności prowadzi do winy, tem cięższej, im mniej bohater miał względu na upoważnienie dążeń obcych. Z takiego nastawienia wywiązuje się walka, którą charaktery spowodowały, a sytuacya wszczęła.

Dramatyczność zatem, tak w życiu, jak w sztuce, jest płodem charakterów i sytuacyi. Jak dramat w znaczeniu ogólnem zdaje się nam być kwiatem wszelkiej poezyi, tak tragedya przedstawia się nam jako najwspanialszy kwiat poezyi dramatycznej.

Jeżeli poezyę epicką nazwać się godzi poezyą zmysłów, natenczas liryka będzie poezyą serca, a dramat poezyą rozumu. Dramat snuje organicznie z wątku charakterów i sytuacyi, charaktery i sytuacye wzajemnie się warunkują, najwyższa swoboda w ścisłem ograniczeniu. Karb o karb toczy się koło dramatu; w długim scen szeregu, każda ma swoje upoważnienie, każda jest niezbędnem ogniwem węzła dramatycznego.

Najwyższa moralność kieruje sądem poety. Poeta dramatyk pojął organiczny związek winy i kary, pojął winę jako niezawodny zaród kary, nie zaś jako coś zewnętrznego, od czegoby się uchylić można.

W dramacie i w komedyi dzieje się wymiar sprawiedliwości na scenie, w tragiedyi przedewszystkiem w piersi widza. Publiczność złączona z bohaterem tajemniczym węzłem sympatyi, biorąc udział duchowny w jego walce i powodzeniach, przypuszczona do tajemnic jego ducha, ocenia go inaczej niż świat, w którym *on* działa, z którym *on* walczy. Pobudki, które na działanie bohatera wpływają, częstokroć zmniejszają winę jego w obliczu widza, kara zdaje się zbyt surową, i często wiedziony prawdziwie ludzkiemi uczuciami bojaźni i spółczucia, w swej własnej piersi łagodzi wyrok niezbłaganej sprawiedliwości wyższego porządku rzeczy.

Poeta tragiczny wzbudza wprawdzie w słuchaczach bojaźń i spółczucie, ale sam powinien być nad nie wyższym.

Duch jego musiał pojąć ideę solidarności, która całą ludzkość owłada, którą już pogańska starożytność znała, a chrześciaństwo dogmatem zatwierdziło.

Wina jak przekleństwo czasem w poźnem pokoleniu zejdzie plonem kary. Grom po gromie bije w zalękłe wnuki, zsiniałe usta pytają nieba: *zaco nas chłoszczesz?* a znowu grom pośród nieba zahuczał: *za winy ojców waszych*!

Lwów, 2. marca 1860. З.

WCZORAJ.

(Dokończenie).

O! z takim mężem, gdy ci się zdarzyło
Na jednej ławie siedzieć przed kominem,
I parę godzin przegawędzić miło
I ochrzcić wspólną znajomość węgrzynem —
Gdy przytem serce i twoje i jego
Na jednę nutę szczery takt zabiło,
To możesz jakby na siebie samego
Liczyć na niego i zawsze i wszędzie.

*

Powierz mu śmiało swój honor i mienie,
I młodą żonę, życie i zbawienie,
Ciałem i duszą strzedz i bronić będzie
Więcej niż swoje — i lepiej od ciebie;
Nadgród nie przyjmie — choć gotów w potrzebie
I własnem dobrem za tę straż zapłacić,
Niżli źdźbło słomy z twego dobra stracić!
Chcesz z nim żyć w zgodzie? to noga przy nodze,
Sercem przy sercu po życia idź drodze,
I w ład ci pójdzie z takim współwędrowcem,
Bo chodzić krzywem nie lubi manowcem. —
Ale nie radzę zaciąć się z tym mężem,
I wleźć mu w drogę ostem albo wężem!
Bo jako wulkan serce nosi w łonie!
Niech tam najmniejsza iskierka upadnie,
Do dna się wzburzy i wybuchnie snadnie —
Zemsty i gniewu lawą cię pochłonie!
A jednak — strap go krzywd ciężkich tysiącem
I przyjdź doń potem z sercem żałującem,
I dłoń ścisnąwszy rzeknij: Przebacz bracie!
Pierzchnie mu z piersi chęć zemsty zawzięta,
Bratniej wymówki wzrokiem spojrzy na cię
I ze znaczącem głębokiem westchnieniem
Rzeknie ci tylko: Niech Bóg niepamięta,
I zgodę stwierdzi bratniem uściśnieniem! —
Lecz jeżliś drasnął jego cześć szlachecką,
A cześć swą ceni on więcej niż siebie,
— I bardziej kocha niźli matka dziecko,
To nie przebaczy chyba tylko w niebie
I to natenczas gdy Pan Bóg rozkaże —
Ale na ziemi głowie twojej biada!
Otwartą wojnę tobie wypowiada,
A krwią dopóki obelgi nie zmaże . . .
Jak czarownicy złośliwe nasłanie,
Jak kara Boża póty nieodstanie —
Wykręt choć diabli nic tutaj nie nada,
Bo on jak sokoł otwarcie i śmiało
Z góry i w oczy nie z boku napada;
To jeżli bracie nie z ciasta masz ciało,
Z szablą staw czoła szlachetnemu wrogu
A duszę twoję poleć Panu Bogu!
Bo twój przeciwnik rębacz znamienity,
Ostrą ma szablę co na poły płata;
A jeżliś bracie jest tchórzem podszyty,
To ruszaj lepiej choć na koniec świata,
Bo tu się odeń sianem nie wykręci,
Ani wymodlą nawet wszyscy święci! . . .

A przecież mąż ów kiedy jął się księgi,
Ze czcią wychodził i nie podrwił sprawy —
I to jak zawsze śmiały, wolny, prawy,
Przez rozumowań zawikłane kręgi
Przez kłamstw i złudzeń i z wątpień zawady,
Jako na wroga wstępnym godził bojem,
Zmiatając chytre zasadzki i zdrady,
Zdążał do prawdy po polsku — przebojem;
I ciął rozumem przy pochodni wiary
Uczone węzły jak szablą Tatary!
Nieprawdaż? Zaświadcz boski Koperniku,
Coś wzlatał duchem aż nad mleczne smugi —
I mimo licznych bluźnierców okrzyku,
Rozkazał słońcu stanąć po raz drugi,
I sam jak słońce w rozumu wszechświecie
Noweś dał życie niejednej planecie.
Świadcz za swych ziomków astronomie prawy,
Co jako gwiazdy nad Polską błyszczeli
Lecz gasną w świetle twej słonecznej sławy.
Bo twoją sławą świat się z nami dzieli
A przecież mąż ów miał dłoń równie wprawną
Do ciężkiej szabli i pióra lekkiego,
I w wiejskiej ciszy czasu swobodnego
Mową od serca a solą zaprawną,
Pismem szerokiem jakby szablą skreślał
Ku pożytkowi braci i ojczyzny . . . .
Spisywał sobie co czynił — co myślał,
Gdzie z wrogiem tańczył — gdzie odbierał blizny —
Jakto hulali panowie hussarze,
Jacy to wtedy byli dygnitarze,
Na jakim z mową wystąpił sejmiku,
Jak o tem stoi w Paska pamiętniku. . . .
A przecież mąż ów kiedy chwycił lutnię,
I przygrywając wesoło lub smutnie,
Nucił rozgłośnie piersiami zdrowemi
Polską — a choćby stary Romy mową,
Pieśni o Bogu i o Polskiej ziemi, —
W tak wdzięczny wieniec wiązało się słowo,
Że go i Polska z radością słuchała
I w takt klaskała Europa cała.

O badaniach filologicznych
na polu języka starosłowiańskiego

przez

Antoniego Małeckiego.

(Dokończenie.)

Z pozostałych tych zabytków piśmiennych dawno minionej przeszłości, skrzętność, bystrość i nieznużona praca pobratymczych uczonych naszych zstrząsnęła już pył tylu wieków, i literaturę przed półwiekiem jeszcze pod tylu względami osłoniętą nieprzeniknioną tajemnicą, wywiodła w wielkiej już części na jaśnię. Rozmiar pisma nie dozwala mi zabrać się i do tego zadania. Niechaj więc stanie za szczegółowy wykaz kolei i postępów w dziedzinie poszukiwań nad tym przedmiotem, sama tylko imienna wzmianka uczonych, którzy na tém polu szczególne położyli zasługi.

Pierwszy stoi w ich rzędzie uczony czeski *Dobrowsky*, (1808 — 1822), który w ciągu pierwszych 20 lat tego wieku, zasłużył pracami swemi na chlubne miano założyciela studyów języka starosłowiańskiego. Zaszczytne zajęli obok niego miejsca z pomiędzy Rosyan *Kałajdowicz* (1824) i *Wostokow* (1843); dalej współczesny obydwom, pochodzeniem Krainiec *Kopitar*, niegdyś bibliotekarz c. k. biblioteki wiedeńskiej. Nakoniec głośni dzisiaj w całej słowiańszczyznie *Szafarzyk* i *Miklosich*, ostatni obecnie profesor uniwersytetu wiedeńskiego. — Wielkie też rokuje nadzieje zasłużony już około gramatyki tego języka professor praski *Schleicher*.

Tychto mężów zasługom zawdzięczamy, że główne tak literacko-historyczne, jak filologiczne trudności co do języka starosłowiańskiego ostatecznie przełamane zostały. Znaczną ilość dawnych, nieskażonych jego pomników ogłoszono już drukiem. Otworzył się zatem przystęp do nich każdemu, i łatwa już teraz sposobność badania rzeczy w najczystszych źródłach.

Po takich wypadkach, naganną by już było lekkomyślnością, a raczej uporem nie do darowania, mozolić się nad teoryą języka naszego, a nie korzystać z wyjaśnionych a tak prostych i ściśle prawidłowych kształtów w budowie starosłowiańskiego narzecza. Podobieństwo i koincydencya jego z polszczyzną już XIV i XV stulecia w wielu względach jest uderzająca i prawdziwie nad spodziewanie. Gdybyśmy zaś posiadali zabytki języka ojczystego z czasów na jakie 3 lub 4 wieki jeszcze dalej cofniętych w przeszłość: — to wszelkie poszlaki i analogie, tak w gramatycznym względzie, jak i leksyko-graficznym, naprowadzają na wniosek, że potwierdziłyby się świetnie domysły, iż stopień podobieństwa między temi dwiema córami wspólnej i niegdyś jednej tylko mowy słowiańskiej pierwotnie musiał być bardzo znaczny, a odrębność każdej z nich dotyczyła tylko mniej istotnych okoliczności. Słusznie też zatem zastępować nam teraz powinna jedna niedostatek drugiej.

Panię pogańskie.

Szkic historyczny

przez

Karola Cieszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Islam wstrząsł się pomimowoli, a na skrwawioną i znękaną twarz jego wystąpił wyraz przestrachu. Chciał się cofnąć ku drzwiom, lecz przy drzwiach stał leśny z gotową do użytku bronią — chciał podejść ku kominkowi i usiąść przy ognisku, lecz odstraszała go Ołena z groźnym wzrokiem i chór krzyczących z przestrachu dzieci.

Smutne były myśli, co się w tej chwili snuły po głowie tatarskiego wodza. Wałem otaczał go rój zbrojnych wojowników, jasna gwiazda świeciła aż do tej chwili nad jego wyprawą, na barkach swoich czuł już złotą szatę królewską, w zawoju pióro brylantowe — a wszystkie te marzenia sławy i szczęścia rozwiała jedna przegrana bitwa.

— Tatar! Tatar! — krzyczały dzieci z wlepionemi w Islama oczyma i tuliły się do siebie.

— Tatar! Tatar! — mówiła głosem zemsty Ołena do leżącego na ziemi Ostapa i wcisnęła mu do rąk topor, co stał w kącie izdebki — teraz pomścij twą Hankę.

Zaiskrzyły się oczy Ostapa jak gasnące pochodnie. Lewą ręką dźwignął schorzałe ciało, prawą ujął toporzysko i z dzikiem postanowieniem podniósł go do śmiertelnego rzutu.

— *Allah! allah! aman!* — mruczał niezrozumiale Islam i poruszał spieczonemi ustami.

— Rzuć! — szeptała Ostapowi Ołena, nachylając się nad jego głowę — roztrzaskaj głowę temu pohańcowi a aniołowie w niebie cieszyć się będą.

Ostap ujął konwulsyjnie za toporzysko i szukając celu, wpatrzył się w twarz Islama. W tej chwili i Islam zwrócił ku niemu swe oczy i obadwaj wrogowie w niemem milczeniu pożerali się wzrokiem.

Ten sam poganin, któremu winienem życie — mówił sam do siebie prawie w przestrachu Ostap i opuścił podniesiony do rzutu topor.

— Twarz tego chrześcijanina znajoma mi — szeptał Islam.

— Rzuć! — mówiła niecierpliwie Ołena potrząsając Ostapem — roztrzaskaj mu głowę.

— Tatar! widzisz Tatara! — szeptały dzieci i ośmielone, coraz bardziej się przybliżały.

Na dworze tymczasem dzika szalała burza. Wiatr gwałtowny huczał pomiędzy drzewami, wciskał się przez komin, rozwiewał ogień i gwiżdżąc, z urąganiem latał po izdebce. A dzikiej hulance wiatru odpowiadał melancholiczny plusk deszczu i żałośne wycie psa, co zamknięty w komorze nie mógł przywitać pana.

— Matko — mówił Ostap do Ołeny schylając się na posłanie — ja go nie zabiję, on mi uratował życie.

*Aman! aman!**) — mruczał Islam przez zaciśnięte zęby. Śniada twarz jego powlekła się trupią bladością — porwał się za głowę — obłąkanym wzrokiem potoczył w około i jak martwy powalił się o ziemię. Mocno w boju ranny, wycieńczony trudami i całodzienną po lesie tułaczką, głodem i utratą krwi, stracił zupełnie siły.

— Tatar! Tatar umarł! — zakrzyczały dzieci i cofnęły się przestraszone. Przypadł i leśny i podniosłszy skrwawioną głowę więźnia, która z łoskotem uderzyła o sosnową kłodę, oblał ją wodą.

W jednej chwili zmieniła się cała postać rzeczy. Ołena, owa sroga i niepohamowana mścicielka Hanki, stała się znowu kobietą. Litość zdjęła ją na widok leżącego u nóg jej Islama i w obec bezsilności dotychczasowa opuściła ją siła. Własną ręką przyrządziła mu posłanie obok Ostapa, a po chwili śmiertelni na polu walki wrogowie leżeli zgodnie obok siebie, silną porwani gorączką.

— Bohu! piękny mój Bohu! zalej mię zimną twą wodą, bo się spalę jak stos zatlony — wołał wyciągając ręce jeden.

— *Allah! allah!* ratuj mię z rąk pogan — jęczał drugi.

A stara Ołena przez noc całą siedziała obok Ostapa, szeptała za jego zdrowie pacierze, odwilżała spieczone jego usta, a nawet Islamowi leżącemu w kącie i rzucającemu się gwałtownie, od czasu do czasu jednemu z dzieciaków głowę wodą oblewać kazała.

Na drugi dzień leśny dał znać do obozu polskiego, że ma w domu więźniem Tatara w czerwonym złotem tkanym kaftanie i z bogatą bronią — a gdy poznano Islam Giraja, brata samego chana, wielka była z tego powodu radość. P. wojewoda sowicie obdarzył leśnego, słabego zaś Islama zabrać kazał do obozu, gdzie miano o nim jak najtroskliwsze staranie. Ostap zaś pod pieczą Ołeny pozostał w chatce w lesie, póki nie przyszedł zupełnie do siebie.

*) Łaski! łaski!

Piękny jest rynek warszawski dla licznych kamieni, ozdobionych złotem i rozmaitemi malowaniami. Ratusz okazały stoi w pośrodku: z jego łona szumna wystrzeliła wieża, na jej wierzchu rycerz w czerkieskiej czapce, w rogach cztery misterne piórka, w około ganek dla trębacza, na szczycie gałka złota z powietrznikiem a nad nią herb Syrena. W około zaś ratusza na dole mnóstwo sklepików i sklepów, niżej więzienia, nad wschodami dwaj aniołowie z herbami w rękach, we drzwiach kutych trzymają straż zbrojni w halabardy urodziwi drabanci.

A na rynku — w kilka tygodni po opisanych powyżej zdarzeniach — mnóstwo było ludzi, skupionych przed kamienicą p. Hermelausa Ligęzy, podskarbiego naonczas koronnego. Tu panienka z brwią czarniuchną stoi i aż się błyszczy od pereł, złota i kamieni; pani matka za nią z książką z złotemi klamrami. Dalej kupka szlachty z zawiesistemi minami — na boku kilka pacholąt królewskich wykradłszy się z zamku płata figle żydom — a wszyscy patrzą ciekawie w okna pana podskarbiego.

Czy Tatar, prawdziwy Tatar? — pytał ciekawie szlachcic w pąsowym kubraku, a z ócz przymrużonych jasnym połyskiem świeciła małmazja.

— Rodzoniuteńki, mościpanie! prosto z Tataryi — zapewniał uroczyście brat szlachcic, na słoniowych nogach olbrzymi dźwigający brzuch. — Wszak sam go łapałem! — dodał podrzucając głowę do góry i z fantazyą podciągając pasa żółtego na dymowym żupanie.

— *O horror!* boska obrazo! — szeptał ze zgrozą przesuwający się w bobrowej czapce ksiądz jezuita i ciekawie zazierał w okna kamienicy. — W dom chrześciański puszczać poganina!

A pachołek z pawężą u boku wstrzymywał cisnące się tłumy, co obległy dom pana podskarbiego i karcił swawolę uliczników, którzy gwałtem chcieli widzieć tatarskiego króla; a dla skrócenia sobie czasu błotem obrzucali pachołka.

— A kiedyż go zwieźli! — pytał szlachcic o słoniowych nogach, widocznie niechętny, że się to stało bez jego wiedzy.

— Ta snać w nocy — odpowiedziała z gniewem, chociaż nie pytana, znana całej Warszawie krzywousta Jędrzejowa, właścicielka pobliskiego straganu — bo ani krok jeden nie odstępuję mej ławy, a ani wiem kiedy się to stało. — I splunąwszy przykrzywiła na bok głowę, w widocznem rozżaleniu.

A przedmiot tej ogólnej ciekawości szybkim krokiem przechadzał się po obszernej bogatej izbie, przeznaczonej mu na mieszkanie. W środku na marmurowym stole stały marcypany, cukry, mięsiwa różne i brzuchate z śrebrnemi korkami flaszki z wódkami, rywułą i małmazyą — ściany okryte obrazami wyrażającemi zwycięstwa Polaków — na bogato oprawnym kominie sfery z planetami i sztuczny śrebrny zegar — w około ścian długim rzędem stołki złotą skórą kryte z herbami pana domu — między oknami w złocistych ramach weneckie lustra — w kącie zaś, zapewne dla zabawy gościa, biały morski kotek na śrebrnym łańcuszku w wesołych podskakuje pląsach. Ale pomimo tego bogactwa w otoczeniu, jedwabiem kryte okna żelazna strzeże krata, a przededrzwiami w sieniach zbrojny czuwa pachołek, młodemu zaś mieszkańcowi tej komnaty wszelką odjęto broń — więźniem był.

Przypatrzmy mu się bliżej, a poznamy go: jest to Islam Giraj, brat pobitego na głowę tatarskiego chana. Z ran wyleczony przywieziony został do Warszawy, a jako więzień wojenny i brat chański traktowany przyzwoicie i umieszczony w domu pana podskarbiego Ligęzy.

Smutno wlokły się dnie niewoli tatarskiemu księciu. Polska gościnna, huczna i wesoła, ale głos radości tylko echem odbijał się o mury więzienia Islama. Ściśle strzeżony, dnie całe trawił skulony w kącie pokoju, i skrzyżowawszy nogi na poduszkach, smutnym oddawał się myślom. Marzył o uroczym Krymie, o złotym stolcu chanatu, o koniach z sokolim lotem — a marzył namiętnie, bo Islam był poetą i w piersiach Tatara ognista wrzała dusza. Jedyną jego zabawą był kotek morski, który go rozweselał swemi figlami, i rzadko kiedy wychodził pod strażą, bo p. Ligęza żadnych więźniowi swemu nie pozwalał wolności.

Zżymał się dumny książę, potrząsał czarnemi kędziorami i gniewnie gęstą skubał brodę. Tęsknił za powietrzem, za stepem, za koniem, za wolnością złotą i niczem nie wynagrodzoną, za jakimkolwiek towarzyszem niedoli, a tęsknota ta pożerała duszę jego. Wychudł, wymizerniał, i tylko oczy czarne pałające rozszerzyły się i namiętnym tliły blaskiem.

Bawił podówczas w Warszawie pan Tomasz Zamojski, kanclerz wielki koronny. Pan ten godny i zacny i całej znany Polsce, skoro się dowiedział o uwięzieniu chańskiego brata, kazał go prosić do siebie i przyjął po przyjacielsku. Upodobał sobie w jego rozmowie i trafnych zdaniach, a że cierpiał na podagrę i nie mógł się z domu wydalać, prosił, aby go często odwiedzał.

Od tego czasu Islam bardzo częstym był gościem w domu pana kanclerza, który go sadzał do swego stołu, całe godziny trawił na rozmowie z nim, i poznawszy bliżej do wielkiej przypuszczał poufałości. Opowiadał mu o dzielności Polaków i sposobie ich wojowania, o polskich obyczajach i zwyczajach, o świętej Chrystusowej wierze opartej na miłości. To znowu w dobroci serca swego pocieszał go nadzieją powrotu i prosił, aby znosił cierpliwie czasową niewolę i poddał się niezmiennemu przeznaczeniu, a owo *panię pogańskie* — jak go powszechnie zwano — rozsmakowało bardzo w zacnej i dobrotliwej mowie kanclerza.

Razu jednego wieczorem p. Zamojski był słabszy niż zwykle. Zachodzące słońce promieniło się w oknach i jasnym blaskiem otoczyło schorzałą jego głowę, szlachetną i poważną — Islam siedział opodal na niskiem siedzeniu i wpatrywał się w twarz kanclerza z taką

czcią i miłością, jakby w grób Mahometa. W tem szeroko otwarły się drzwi, i poważnym krokiem wszedł stary król Zygmunt.

Uprzejmie powitał chorego pana na Zamościu, lekkiem skinieniem głowy odpowiedział na wschodni ukłon Islama i dał mu znak, aby usiadł. Długo trwała między panami rozmowa; król wpatrywał się ciekawie w więźnia i kiedy niekiedy zadawał mu pytania, a gdy odchodził, Islam odezwal się nieśmiało:

— Mam wielką prośbę zanieść do majestatu waszego, miłościwy panie.

Król Zygmunt miał już odchodzić. Wstrzymał swe kroki i przemówił uprzejmie: — I jakąż?

Proszę, abym mógł opuścić dom p. Ligęzy i zamieszkać u p. kanclerza.

— A to dlaczego? — pyta król zdziwiony.

— *Bo pan Ligęza nie bywał na wojnie!* — odrzekł Islam znacząco.

Zdumiał się król odpowiedzią Tatara, w której się przebijał umysł myślący i hardy, i zrozumiał wyrzut w odpowiedzi zawarty, bo chociaż nie przychilił się do prośby Islama, tenże jednak od tego czasu nierównie łaskawszego doznawał z sobą obejścia. Uprosił i to p. Zamojski u króla, że puszczono wolno z oków sługę Islama, Dujnała, który w tejże samej bitwie pod Bursztynem został uwięziony i osobno do Warszawy przywieziony. Dodano go Islamowi do usługi i zabawy, za co bardzo dziękował panu kanclerzowi.

W kilka tygodni potem p. Zamojski z całym taborem i dworem wyjechał do dziedzicznego mieszkania swego Zamościa, i uprosił pana Ligęzę, że pozwolił zabrać z sobą Islama. Tu znękany słabością p. kanclerz odpoczywał po dworskich trudach, i przesiadując w swym pokoju, równie jak w Warszawie długie godziny trawił na rozmowie z Tatarzynem, a nawet tak dalece upodobał go sobie, że wyznaczyć mu kazał mieszkanie niedaleko swoich pokoi, do których miał zawsze wstęp wolny.

Pewnego poranku, gdy p. Zamojski wstawszy rano podług swego zwyczaju, przeszedł do drugiego pokoju, gdzie miał ołtarzyk z różnemi relikwiami i świętościami, i tam modlił się pobożnie, wszedł do pokoju niepostrzeżenie Islam.

Na widok modlącego się pana domu stanął w progu Tatarzyn i nie szedł dalej. W oczach jego, nawykłych do krwi i mordów, głębokie dało się widzieć rozrzewnienie, które jakby blaskiem słonecznym rozświetliło te rysy na pół dzikie, niezwykłe nastrajać się do uczuć tkliwszych. Długo patrzał się na modlącego, a gdy p. kanclerz wstał i postrzegł Islama, uśmiechnął się do niego przyjaźnie i pozdrowił na dzieńdobry.

— Wielki jest wasz Allah, kiedy tak cnotliwych a kornych ma czcicieli — odezwał się Islam Giraj; — i wielki jest naród, który takich jak ty wydaje mężów.

— A dlaczegoż tak nienawidzisz tego kraju Islamie? — pytał p. Zamojski łagodnie i poważnie. — Dlaczego razem z innemi najeżdżałeś go i rozlewałeś krew jego mieszkańców?

Islam chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili wszedł dworzanin i oznajmił przybycie gońca z listami. Po chwili otwarły się znowu drzwi i ciężkim krokiem, usiłującym być cichym, wszedł — Ostap. Widać że znany był nasz Kozak panu na Zamościu, bo uśmiechnął się do niego p. kanclerz i zapytał łaskawie:

— I cóż wierny Ostapie, dawno wyliczyłeś się z ran?

— Już zdrów jestem bat'ku — odpowiedział krótko zagadany, i podszedłszy bliżej, uściskał kolana pańskie. Przywożę wam pisma od p. chorążego bracławskiego.

Ostap ponure miał lica i troskę na czole; widać że choć z ran wyleczony, cięższa rana została mu w sercu. Stanął obok drzwi i czekał, a gdy zajrzał Islama, który poznawszy chciał go powitać przyjaźnie, wstrząsł się cały i cofnął się, jakby od gadziny ukąszony. Iskrzącem okiem wodził po komnacie, aby się nie spotkać z wzrokiem Tatarzyna i nie odnawiać przypomnienia utraty Hanki, która gdzieś przepadła bez wieści.

— Listy od pana Stefana? — zawołał żywo p. Zamojski i jął czytać skwapliwie podane sobie pisma.

Bo p. kanclerz koronny Zamojski wielce miłował i poważał *sługę swego*, p. Stefana Chmieleckiego, a nawet w tym właśnie czasie wyrobił dla niego wielką łaskę u króla jegomości. Po śmierci bowiem księcia Aleksandra Zasławskiego było do rozdania krzesło województwa kijowskiego, a p. kanclerz tak długo króla molestował i prośbę swoję przyczynami popierał, że pomimo mnóstwa współubiegających się i niechętnych p. chorążemu, województwo to w nagrodę cnot i dzielnych posług Rpltj przez tegoż oddanych, dostało się panu Chmieleckiemu. Gdy więc p. chorąży bracławski o niczem nie wiedząc i ani się tego spodziewając bawił na Ukrainie, uganiając się za wrogiem i broniąc granic państwa, pan jego i przyjaciel pomimo słabości tak długo przy boku króla bawił, póki nie utrzymał na to przywileju przez króla jegomości podpisanego.

Postępek ten królewski różnie został przyjęty. Gorszyli się zazdrośni i chciwi, że stołek senatorski przy boku królewskim, w obec senatorów i pana swojego zasiadać miał senatorski sługa, drudzy cieszyli się z tego i brali pochop do tem gorętszego służenia ojczyźnie — wszyscy zaś widzieli w tem wielką cnotę pana kanclerza, że na miejscu w senacie które sam niedawno zajmował, posadził sługę swego, który przez cnoty i czyny swe zasłużył sobie na to.

„Sługą“ zaś p. Zamojskiego nazywany był p. Chmielecki, bo nietylko głównie zaciągami jego wojował, ale pobierał także od tegoż pana jurgielt roczny 2000 złotych na młynach Kraśnickich, i trzymał przez „arendę łaskawą“ z dóbr p. kanlerza Suszyńce i Dewce i wszystką majętność Kraśnicką. Zato zaś p. Zamojski przyjąwszy urząd pieczętarski, gdy dla mnogich z tego powodu zatrudnień i częstej choroby sam w obozie by-

wać nie mógł, wyręczał się p. Chmieleckim, i tym sposobem — dając wojsko i utrzymanie potrzebne — służył i w polu Rzeczypospolitej.

Gdy p. Zamojski odczytał przywiezione sobie przez Ostapa listy, w których zawierała się obszerna relacya bitwy pod Bursztynem i wiadomość o przybyciu p. Chmieleckiego do Suszyniec, gdzie zwykle przemieszkiwał, ucieszył się bardzo p. kanclerz, i odpisując krótkiemi słowy, zaprosił go do siebie do Zamościa, i wygotowaną odpowiedź spiesznie odwieźć kazał Kozakowi.

(D. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Odbieramy list z Żytomierza z niniejszem ogłoszeniem prenumeraty, które już dawniej powtórzyły wszystkie niemal pisma polskie, z tym dodatkiem, że upoważnieni od p. Alexandra Grozy do zbierania prenumeraty, zajmiemy się tem całem sercem. — Upraszamy zatem czytelników naszych, którzyby chcieli korzystać z ogłoszenia tego, o nadsyłanie przypadającej kwoty wprost do redakcyi Czytelni.

Ogłoszenie to p. Andrzeja Kwiatkowskiego, nakładcy, następującej jest treści:

Będąc najwięcej obowiązani zachętom i staraniom p. Aleksandra Grozy w założeniu naszej drukarni, poczytujemy sobie za święty obowiązek zająć się wydaniem poetyckich dzieł jego, które cztery tomy obejmą, a mianowicie:

Tom 1-szy. Pieśni i Wiersze różne: — Kalina (legenda); Wacław i Helena (fantazya); Kniaźnin (poemat uczuciowy); Korynna (wspomnienie starożytnej Grecyi); Trzy Palmy (powieść ze Wschodu).

Tom 2-gi. Powieści ludu: Martyn (powieść ukraińska); O Duszach umarłych (powieść ukraińska); Głuche Jezioro (powieść białoruska); Jastrzębiec (powieść wielkopolska); Dumy: Soroka (duma ukraińska); Maksym (duma ukraińska); Janko ślepy (duma serbska).

Tom 3-ci. Marek Jakimowski (duma historyczna); Mogiły (relacya o bitwie Batowskiej); Starosta Kaniowski (powieść ukraińska w 3-ch częściach).

Tom 4-ty. Hryć (dramat ukraiński w 5-ciu aktach); Smieciński (powieść we 3-ch częściach).

Pomiędzy naszymi poetami p. Aleksander Groza jedno z zaszczytniejszych miejsc zajmuje; tacy znawcy i krytycy, jak pp. Sztyrmer, Siemieński, Marcinkowski, Kraszewski, Wojcicki i inni to mu przyznali; a p. Michał Grabowski utrzymuje, że on połączył w sobie to wszystko, na czem zbywało B. Zalewskiemu i Goszczyńskiemu, a tem samem dopełnił genialnego orszaku naszych poetów ukraińskich. Uczone nasze towarzystwo krakowskie przyjaciół nauk i wileńskie archeologiczne oddały hołd jego talentowi, zapraszając go na swego członka, a taki artysta jak pan Antoni Oleszczyński, szlachetne rysy naszego poety prześlicznym medalionem upamiętnił.

Kto poznał poezye pana A. Grozy, a nawet pisma jego prozą, ten podziwia w nich bogactwo myśli i uczucia, świeżość i oryginalność kompozycyi i niezużycie formy; bo on myśl każdą nosi długo w swej duszy, wygrzewa ją w sercu i z natchnieniem wylewa ją na papier.

Pisma p. A. Grozy, pomimo, że je krytyka uznała być utworami wyższego talentu i natchnienia, nie są jeszcze w ogóle ani tak znane, ani rozpowszechnione jak na to zasługują, przez co wyrządza się krzywda i poecie i krajowi. Pragnąc o ile w naszej mocy wynagrodzić tę podwójną niesprawiedliwość, ogłaszamy prenumeratę na poezye p. A. Grozy; na jego zaś pisma prozą pożniej prenumerata ogłoszoną będzie.

Nikt mniej od p. Grozy nie ubiegał się o sławę, stosunki, nagrody; żył, pracował na ustroniu, a gdy mu nadarzyła się sposobność wystąpienia na widok publiczny, wystąpił; lecz nie we własnem, a biedniejszej braci interesie, podając myśl wydawnictwa taniej biblioteki domowej w Żytomierzu i z całą duszą zajmując się zrealizowaniem onej.

Powiada stare przysłowie: dwom panom razem służyć nie można; i p. A. Groza dzieląc swą myśl i życie między poezye i prace umysłowe a powszedniego żywota sprawy, musiał w czemś szwankować, i w istocie szwankował na stronie materialnej; i autor Dum, Kaniowskiego, Hrycia, Smiecińskiego, twórca wydawnictwa Biblioteki domowej znalazł się pod ciężarem trudnych okoliczności, które pogorszyły lata nieurodzajne, a bardziej ciężkie i długie w jego domu choroby.

Z rezygnacyą szlachetnemu człowiekowi właściwą, zabierał się do sprzedania swego wiejskiego dziedzictwa, i biały piękny domek, i zielone w ogrodzie kasztany, i żyzne pola, na których tyle dum przez myśl i serce mu przeszło i tyle tu onych wyimprowizował, uważał już za nie swoje, gdyśmy przedstawili mu, że ma prawo odwołać się do ogółu i ogłosić na swe dzieła powszechną prenumeratę. Ustąpił naszym nalegaaniom z warunkiem, aby ta o ile można była tanią.

Spełniając to skromne naszego piewcy wymaganie, ogłaszamy prenumeratę na 4-ry tomy poezyj p. A. Grozy, na pięknym papierze i ścisłym drukiem. rs. 3, i pewni jesteśmy, że ogół wesprze nasze przedsięwzięcie sympatyą, jaką zawsze dla wszystkiego co dobre i piękne okazywał, a pp. księgarze, nakładcy i wydawcy pism peryodycznych czynnem zainteressowaniem się pomocy swej nam nie odmówią. — Ponieważ do wyprzedaży biletów prenumeracyjnych ilość egzemplarzy stosowną być musi, przeto upraszamy o jak najrychlejsze zgłaszanie się, abyśmy w ciągu bieżącego roku wydanie uskutecznić mogli. Cały dochód z wydania do autora należeć będzie. Upraszamy także osoby chcące dać protekcyę naszemu przedsięwzięciu i zatrudnić się zbieraniem prenumeraty, aby raczyły zgłosić się, adresując: do Andrzeja Kwiatkowskiego w Żytomierzu.

Polecamy następujące dzieła:

Gimnastyka domowa według najnowszych autorów francuskich i niemieckich ułożona, w 2 częściach, z licznemi drzeworytami. Warszawa, 1860.

Domowa gimnastyka dla płci żeńskiej. Warszawa, 1859.

Polecamy jak najgoręcej te dziełka, które radzibyśmy, ażeby były w każdym domu i znalazły zastosowanie. Słusznie powiada wydawca: „Gimnastyka u dzieci i dorosłych młodzieńców oprócz rozwijania siły, wzmacniania i rozrostu członków, wielce przykłada się do nadania zręcznej postawy, zgrabnych poruszeń, męskiej śmiałości w użyciu sił w potrzebie, słowem stanowi nieomylną drogę do osiągnienia najwyższego możliwego stopnia doskonałości fizycznej."

I tak jest rzeczywiście. W starożytności nauka gimnastyki zajmowała ważne stanowisko w życiu narodów — Grecy i Rzymianie mieli systematycznie do tego urządzone szkoły, a i ojcowie nasi w godzinach wolnych zabawiali się w palcaty, a konna jazda, gra w pierścień i myśliwskie zabawy zastępowały im dawną grecką i nowoczesną gimnastykę.

Lecz sale gimnastyczne u nas mało gdzie jeszcze istnieją, bo dotychczas we Lwowie tylko nowo utworzona Dra. Bakody'ego i p. Leśniewicza. Dziełka więc wyżwspomniane posłużą do zaprowadzenia gimnastyki u siebie, w domu, bez żadnych lub z bardzo małymi przyrządami, póki nauka gimnastyki nie upowszechni się o tyle, że i w mniejszych naszych miastach stosownie ukształcony nauczyciel gimnastyki udzielać będzie tej nauki, jak to we wszystkich prawie miastach Niemiec, Francyi i Anglii ma miejsce, gdzie ona stanowi obowiązującą część wychowania.

Wspomnienia z przejazdki po kraju napisane dla młodych czytelników przez Z.. S...ą. Warszawa II Tomy. Opisy ożywione i zajmujące.

Wieczory w Ojcowie, czyli opowiadania Grzegorza o dawnych czasach rzeczypospolitej polskiej, spisane przez Łucyana Siemieńskiego Ozdobione 9 rycinami litografowanemi. Warszawa.

Korespondencya redakcyi.

Panu S. T. T. K. w Czerniowcach. Redakcya nie może korzystać z nadesłanych jej łaskawie prac.

Sprostowanie. Na str 18. wiersz 21. jenerał nie Kraiński, tylko Krasiński.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.